

Wiecznie jasna

Naprawdę, moja ignorancja musiała być ogromna, skoro „Elegia na odejście pióra atramentu lampy” Zbigniewa Herberta przy pierwszym czytaniu wydawała mi się wierszem mało dla tego twórcy typowym czy reprezentatywnym. Mogłoby mnie jakoś usprawiedliwić jedynie to, że faktycznie w tym utworze brakuje narzędzi organizacji języka, którymi poeta posługiwał się dość często – jak ironia, o której tak wiele napisał w „Uciekinierze z Utopii” Stanisław Barańczak. Autor nie tworzy tu też żadnej osoby, która stanęłaby między podmiotem mówiącym a czytelnikiem, jaką bywał np. Pan Cogito. Takie zabiegi Herbert podejmował absolutnie świadomie, będąc poetą wielkiego rygoru i pozostając wiernym definicji poezji jako sztuki układania słów w koniecznym porządku.

Bardzo często decyzje o sięgnięciu po wspomniane wyżej środki były powodowane obawą przed popadnięciem w nader podniosły, patetyczny ton, a patosu, co wiemy z wypowiedzi artysty czy choćby wspomnień jego żony, Herbert starał się zdecydowanie unikać. Sięganie po ironię pozwalało zatem trzymać w ryzach dykcję i wiarygodność. W „Elegii...” jednak ton jest zdecydowanie podniosły, a powaga podkreślana od pierwszych słów wiersza. Właściwie, jeśli by czytać omawiany utwór w ramach całej kompozycji tomiku, jeszcze wcześniej:

Na pohańbioną ziemię padają łzy rzeczy

tymi słowami kończy się bowiem „Bajka o gwoździu”, poprzedzająca „Elegię...” w zbiorze wierszy wydanym w 1990 r. Przywołany cytatem utwór ma niemal całkiem inny od „Elegii...” charakter. Jest właśnie bardzo ironiczny. Herbert opisuje w nim działające wbrew wszelkiej logice absurdałne systemy i państwa, gdzie jeśli fabryki – to w stepie, jeśli jadące pociągi – to w tundrze. Czy mój ulubiony, beczący na zimnym oceanie statek, nadający sygnał ludzkiej obecności w absolutną pustkę i bez żadnego sensownego celu oraz adresata.

Cały tekst Michała KĘDZIERSKIEGO można przeczytać w listopadowym numerze „Kalejdoskopu” 11/2024.